

Przetom

Redaktor:

Dr. Witold Lewicki.

TREŚĆ:

<i>Dr. Witold Lewicki: Memento</i>	577
<i>Karol Wróblewski: Paweł Bourget</i>	584
<i>Fr. Rawita: Jaskółki</i>	593
<i>Roman Lewandowski: Z krakowskiego „Salonu“ sztuki</i>	596
<i>X. Przeżyte — Odczute — Wydarzone</i>	601

Wychodzi co sobotę.

Cena kwartalnie 2 zř. 50 ct., numer pojedynczy 30 ct.

WIEDEŃ.

Skład główny we Wiedniu w księgarni Włh. Frick, I. Graben Nr. 27
we Lwowie w księgarni Jakubowskiego & Zadurawicza
w Krakowie w księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

1895.



Wiedeń, dnia 16. września 1895.



Memento.

Wybory w kuryi włościańskiej odbyły się we środę. Jak w całej akcji przedwyborczej, prowadzonej z niebywałą namiętnością była pewna dramatyczna zaciętość, tak i rozwiązanie tej ludowej „comedia del’ arte“ miawało iście tragiczne momenty. Co smutne i co trzeba zapisać na karb zaślepienia, to że konfederacya rzeszowska zwróciła się przeciw tym dawnym posłom, którzy należeli do najwybitniejszych i najszacowniejszych postaci w naszym życiu publicznem, zwróciła się przeciw tym najwybitniejszym mężom stanu, którzy w partyi konserwatywnej najbardziej sympatyzowali z ruchem ludowym, którzy w Sejmie i w życiu najbardziej dla tego ludu pracowali.

Padł Adam Sapieha, padł Józef Męciński, padł Józef Popowski. Padł ten sam Adam Sapieha, któremu niedawno oddawano publiczną cześć za dzieło roku zeszłego, padł pod kreciem minowaniem tych samych ludzi, którzy jako redaktorowie pewnego kuryerka głosili z serwilistyczną przesadą sławę jego czynów, ryjąc równocześnie dołki pod zaufaniem, jakim go włościanie zawsze dotychczas otaczali.

Zaiste mogła była konfederacya rzeszowska za ofiary swej złości wybrać kogoś z tych licznych zer, które bez opozycyi wybierano, zamiast uderzać na najzacniejszych, na najszlachetniejszych reprezentantów tego odłamu szlachty polskiej, którzy niegdyś byli ludowcami, a dziś choć się z pewnym kierunkiem ruchu

ludowego nie zgadzają, ale niemniej nie przestają nigdy przez całe swe życie pracować tylko dla ludu. I to, że z pomiędzy szlachty padli właśnie ludowcy, to było ironią ostatnich wyborów.

Pomijając wszelkie osobiste szczegóły i osobiste krytyki i poszczególne wypadki, które zajść mogły, stwierdzić jednak należy, że ogólny rezultat wyborów z kuryi włościańskiej, a więc z kuryi najważniejszej, jest korzystny.

Jeżeli wynik tych wyborów wprowadza do Sejmu zastęp narodowo uświadomionych i rozumnych włościan, to na fakt taki złożyły się nie hałaśliwe przechwałki konfederacji rzeszowskiej, ale sto lat naszej pracy na to się składało, aby lud wiejski przyciągnąć do życia narodowego, aby go zrobić samodzielny i zaprządz do służby publicznej.

Tych 12 mandatów siermiężnych witamy całym sercem, tak jakem już raz wypowiedział zdanie, że czujemy wszyscy potrzebę powołania najszerszych mas ludowych do współuczestnictwa w życiu narodowym, rozszerzenia podstawy naszego życia obywatelskiego, „wydobycia na wierzch najliczniejszych zastępów ludzi z sercem i umysłem polskim z warstw dotąd jeszcze biernych i martwych, bo żaden naród nie potrzebuje może większego zasilenia warstwami nowymi, większego dorobku z niw odłogiem leżących jak naród polski, żyjący w warunkach życia nie normalnego. Ale nikt bardziej przy każdym rozszerzeniu podstawy ludowej nie może ostrożniej baczyć, czy to powiększenie jest tylko materyalnem powiększeniem cyfry, czyli też duchowem pogłębieniem organizmu narodowego“.

Fizyognomia Sejmu pozostała na przyszłość niezmienną, i pod wpływem organizacyi sejmowej jako narzędzia pracy społecznej, ten Sejm zachowuje zupełną ciągłość z Sejmami poprzednimi. Stronnictwo chłopskie jest wzmocnione, a zatem to wzmocnienie stronnictwa chłopskiego musi być dla Sejmu pewnym *memento*, że pewne sprawy załatwione być muszą.

Memento to jest teraz tem dobitniejsze, że połączone było z taką namiętną walką wyborczą i z takimi poważnemi cyframi mniejszości głosów, jakie uzyskali włościanie przy wyborach.

Taka sytuacja w Sejmie pomoże tym wszystkim, którzy będąc w Sejmie przedstawicielami sumienia publicznego szukają tam większości dla przeprowadzenia sprawiedliwego rozkładu ciężarów gminnych, reformy gminnej i drogowej i do pokonania oporu partii negacyi.

Jest w Sejmie, a raczej była partya opozycyjna, ale nie tam, gdzie ją gorące żywioły miejskie radeby widzieć. Jedyną partją opozycyjną w Sejmie była ta partya, która oponowała przeciw konwersyi długów krajowych, oponowała przeciw ustawie sanitarnej, oponowała przeciw polepszeniu bytu nauczycieli ludowych, oponowała przeciw każdej nowożytnej reformie społecznej.

Wszyscy najlepsi członkowie stronnictwa konserwatywnego są już dziś przekonani o konieczności reform społecznych.

Z drugiej strony te nowe żywioły, nie przygotowane do życia publicznego, stanowiące memento dla partii konserwatywnej, nie zjawiają się w Sejmie w takiej liczbie, aby były w stanie zmniejszyć lub nadwzględnić możność działania Sejmu i aby mogły dopomóc do konserwowania dzisiejszych kwasów społecznych.

Niema więc przewrotu, jest tylko dalsza ewolucya na podstawie historycznej. Niema żadnej przerwy, jest zachowaną ciągłość organizacyi. A dawna organizacya Sejmu uzyskała znów 6 lat czasu, aby doprowadzić do porządku i wzmocnić podwaliny przyszłej organizacyi narodowej.

Pisząc o dokonanych wyborach z kuryi włościańskiej nie możemy pominąć jednego szczegółu. Walka była w tych wyborach wyjątkowo jadowitą, agitacya wyborcza przechodziła z reguły z pola walki o zasady na pole walk osobistych, z przedstawienia programu na ciskanie oszczerstw, podburzanie jednej warstwy przeciw drugiej, i nie było tak jadowitej strzały, którejby namiętności wzburzone nie wydobyły z arsenału podłości. Ta jadowitość walki wywołała jako skutek bardzo energiczne kroki ze strony władz rządowych.

Równocześnie sypnęły się za granicą wiadomości o nadużyciach wyborczych w Galicyi.

Nie wolno jednak polegać na systematycznie rozsiewanych, na hańbę naszego narodu obliczonych wiadomościach o nadużyciach władzy w Galicyi, gdyż nie należy zapominać, że wiadomości te drukuje tylko antysemicki „Volksblatt“ i socyalistyczna „Arbeiter-Zeitung“, skąd przez sympatyę bratnich dusz dostają się te ohydne insynuacye do „Frankf.-Ztg.“ i „Münch. Allg. Zeitg.“ i usiłują kompromitować nas przed Europą. Byłoby w interesie sprawy polskiej, żeby wynik dochodzeń ogłoszony był równie publicznie, jak publicznie, hałaśliwie i przesadnie oklepane były mniemane skargi.

Dopóki tych oficjalnych wiadomości niema, trudno tym wiadomościom wierzyć. A tem bardziej trudno, że pochodzą one wszystkie z jednego galicyjskiego biura informacyjnego pod komendą socyalisty, wyświeconego z Żywca, który tutaj ze swoim sztabem założył biuro kalumniowania Polaków przed Europą.

Sam przejęty zółcią³ pluje zółcią, mając za współpracowników w tem szlachetnem rzemiośle garstkę żydków, którzy nietylko roznoszą socyalizm po Galicyi, ale powróciwszy do Wiednia szcują na wszystko co polskie, udając miłość dla polskiego ludu, błędne informacye o stosunkach galicyjskich sprzedają pierwszej lepszej redakcyi, a jeżeli się uda nawet antysemickiemu „Volksblattowi“.

Przeprowadzenie 12tu kandydatów włościańskich, z których 8 przeciw komitetowi centralnemu, dowodzi, że ani ucisk nie musiał być tak straszny, jak „Arbeiter-Zeitung“ przedstawia, ani znów ta ordynacya wyboreza taka zła.

Pokazuje się, co zresztą gdzieindziej dawno już się pokazało, że ani pośredniość, ani bezpośredniość wyboru, ani tajność, ani jawność wyboru, ani powszechność, ani ograniczenie prawa wyboru, ale wyłącznie i jedynie s a m o d z i e l n o ś ć l u d u decyduje o wyborze. Przecież przy tej samej organizacyi wyborczej można dokonać aktu wyboru według woli większości, jak z drugiej strony przy powszechnych głosowaniach wychodzą jednogodnie kandydaci przez rząd oznaczeni. Nie forma wyboru, lecz charakter wyborców o tem decyduje. Ta sama uwaga

stosuje się i do korupcyj wyborczych. Gdzie nie biorą, tam nie dają. A jak długo wyborcy przyjmują poczęstunki i et cetera, tak długo korupcyja wyborcza będzie istniała pomimo wszelkich deklamacyj.

Tak się gorszono w pismach niemieckich, że w Galicyi głosowanie jest jawne. Doniosłość polityczna głosowania jawnego jest nierównie wyższa, aniżeli głosowania tajnego.

* * *

Streszczając uwagi, zamknę je w te konkluzye. Dodatnią stroną wyborów jest, że ciągłość Sejmu jest zachowaną, a zmiany które nastąpiły, będą bodźcem do załatwienia szybszego reform społecznych, ujemną stroną jest niesłychanie namiętna walka klasowa, której zarzewie cisnęła w kraj jak żagiew, konfederacya rzeszowska. Żagiew ta niespostrzeżenie ciśnięta, dała pozór i asumpt do pewnych środków represyi dla stłumienia pożaru ze strony władz rządowych, których ani pochwalać, ani usprawiedliwiać nie można. Jedno było skutkiem drugiego i przeciwnie, energiczne zarządzenia władz wywoływały jeszcze jadowitszą walkę.

Ale wybory te pod hasłem kastowem przeprowadzone rzucają pytanie z dawna na usta cisnące się, zawsze odpychane i wiecznie powracające: czy nasza prawica i lewica, nasze Unie i nasze grupy i grupki, cała nasza organizacya stronnictwa odpowiada potrzebom kraju czy nie? Pytanie to postawiłem w jednym z poprzednich przeglądów p. t.: Koncentracya, a odpowiedź, jaką w tej mierze od Członka Wydziału krajowego, p. Romanowicza w „Nowej Reformie“ z zeszłej soboty otrzymałem, dowiodła, że albo ja musiałem pytanie postawić niejasno, albo p. Romanowicz nie zrozumiał mnie. Ja myślałem o starem prawie strategicznem oddzielnie iść a razem bić. Stronnictwa w Sejmie dotąd występujące, znamionowały cechy klasowe, kastowe lub geograficzne, raczej niż polityczne. A trzeba się zastanowić, czy to co polityce „chłopi wybierajcie chłopca“, mamy najbardziej do zarzucenia, (jakżeby tylko chłopci

mieli być przyjaciółmi chłopów) nie trafia w równej mierze innych stronnictw?

Nie jestże polityka Unii konserwatywnej szlachecką, a polityka lewicy mieszczańską? Nie jest partya autonomistów partya więcej geograficzną opozycyjnych szlachciców z Podola raczej, aniżeli partya polityczną? A więc zamiast stronnictw politycznych w ścisłem znaczeniu, któreby wychodząc z pewnego wspólnego zapatrywania na sprawy publiczne i na sposób ich przeprowadzenia łączyły w swem gronie reprezentantów różnych klas i warstw narodowych, u nas wystarcza na utworzenie partyi interes klasy, lub okolicy.

Tak samo, jak stronnictwo konserwatywne można dziś wziąć za przedstawiciela szlachty i szlachetczyzny, tak samo obóz postępowy niejednokrotnie przybierał pozę obozu mieszczańskiego i interesów miast, a tem samym skład stronnictw obecnych i ich program mimowoli popychał i lud do wyodrębnienia kastowych interesów włościanstwa. Podczas gdy prawdziwie polityczne stronnictwa powinny reprezentować wszystkie warstwy narodu. Potrzeba przełamać te instynktowe poczucia kastowe i starać się o zorganizowanie stronnictw politycznych, apelujących do uczuć obywatelskich wszystkich warstw narodu.

* * *

Nowy prąd przeszedł przez nasze życie publiczne. Zmiany są dość silne, aby wykazać niemożliwość polityki biernych, ale nie tak radykalne, aby miały zrywać ciągłość naszej organizacji publicznej. Niema więc co ubolewać nad tem, co się stało. Niema co myśleć i o tem, jak było, ale trzeba pamiętać o tem, co być ma i co być musi.

W działaniu politycznem trzeba z faktów szukać wskazówek działania na przyszłość. Na każdy wypadek, jakiegokolwiek nasuną się kwestye szczegółowe, na przyszłość najbliższe dwie sprawy, które już zajmowały uwagę Sejmu, pozostaną do dalszego prowadzenia: Kwestya zrównania ciężarów publicznych przez reformy społeczne na dro-

dze ustawodawstwa gminnego, drogowego i podatkowego i kwestya skonsolidowania i utrwalenia ugody z Rusinami.

W tych obydwu sprawach najdonioślejszych ciągłość ich nietylko przez wynik wyborów w kuryi włościańskiej nie została przerwana, ale z naciskiem to potrzeba powiedzieć, została utrwaloną. Wskutek wyborów w kuryi włościańskiej szanse przeprowadzenia reform społecznych i ugody z Rusinami nietylko nie zostały zachwiane, ale dziś są możliwie najlepsze.

Zdrowa zasada życia publicznego nakazuje nie oglądać się na ofiary, jakie każda walka za sobą pociąga. Ten i ów pada, sztandar stoi nietknięty i front jest rozwinięty na przyszość. Trzeba z żywymi naprzód iść.

There is no use crying over spilt milk.

Witold Lewicki.



Paweł Bourget.

W rzeczach szczerego przypadku szukać jakichś symbolów i daleko idących alegoryj, jest dzisiaj rzeczą modną, choć — przyznam się — niesmaczną i nie rozumną. Sam twórca symbolizmu M. Maeterlink powiedział o tego rodzaju wywodach, że korzeniami wrastają wprawdzie w grunt rzeczywistości, lecz szczyty ich bywają zwiędłe i jalone.

Choć więc kolebka Bourgeta stała w Amiens, skąd pochodził on ubogi mnich Piotr, co ognistą wymową bujne, namiętne natury rycerzy średniowiecznych umiał pchnąć na Wschód i stworzyć wspaniałą epopeję wypraw krzyżowych, choć dzieło Bourgeta, znaczące stanowczy jego zwrot do chrystyanizmu, powstało w Clermont, gdzie stoi pomnik Pascala, gdzie na głos papieża Urbana: „Dieu le veut!“ sfornowały się pierwsze zastępy krzyżowców — nie będę jednak brał stąd pochopu do twierdzenia, jakoby już w gwiazdach pisanem było, że Bourget, jako krzyżowiec myśli miał ludzkości sponiewieranej i spodłonej zmysłowo wskazać na wzgardzone dawne, a tak wielkie ideały, na opuszczone Jeruzalem „miasto pokoju“, życie z wiary i wedle Boga.

- Czasy astrologii minęły.

Cały kierunek myśli Bourgeta, ujawniający się w jego najważniejszych pracach „Mensonge“ (1888), „Le Disciple“ (1889), „La Terre promise“ (1892), „Cosmopolis“ (1893) uważam za krwawy dobytek rozumu, szamocącego się długo w walce o prawdę; to owoc ogrojcowych niejako rozmyślań duszy wielkiej i szlachetnej nad poważną treścią życia. Że te rozmyślenia musiały go doprowadzić do chrześcijaństwa, jak ongi filozofa Justyna do katakumb, to jest tylko szczerem postulatum rozumowania. Na całym duchowym rozwoju Bourgeta, nim zaszedł w nim przełom między nowożytnym poganinem, a wracającym do ukochania dawnych prawd katechumenem, sprawdza się ono wielkie słowo Tertuliana, na którym kończy się jego *Cosmopolis*: „Fides debitor est martyrii“,

wiara dłużniczką jest męczeństwa; z niego się rodzi, przez nie ukrzepia. Bourget przeszedł prawdziwe męczeństwo ducha i dlatego umie być wymownym apologetą dawnych tradycyji i wierzeń.

W poezyach swych z lat młodocianych („Poésies 1872—76“ i „Poésies 1876—82“) odzywa się głównie ze skargą na rozterkę duszy samej z sobą i ze światem, na jej niepewność, skąd wyzierać świtów prawdy i brasków szczęścia dla siebie i ludzkości. „Dusza moja urodziła się z raną — woła z Lamenaïs — na ziemi znaleźć na nią balsamu nie mogę, może na niebieskich halach cudowne znajdę zioła; z rasy skazanych na wieczne, bezcelowe cierpienie być nie mogę, nie zdołam“.

W krytycznych swych studyach umieszczanych zrazu w „Nouvelle Revue“, a wydanych następnie w zbiorowym wydaniu „Essais de psychologie contemporaine“ (1883) badał do ostatnich wyników tezy wolnomyślicieli francuskich, oddał należny wyraz uznania mrówczej, a raczej tytanicznej pracy Taine'a, Flauberta, Renana i Stendhala. Sam Bourget najlepiej określa swój kąt patrzenia na tych wrzekomych wyswobodzicieli ludzkiego sumienia, w których gruntowna analiza odkrywa tylko bezradnych sofistów, zwątpiających pesymistów i drwiących z ogółu augurów — dyletantów.

„Czytelnik tej książki, choć jest poświęconą wspomnieniu pięciu znamiennych autorów, nie znajdzie zgoła tego, co się zwykło nazywać krytyką w ścisłym rozumieniu słowa. Ich utwory literackie badam jeno o tyle, o ile są znakami czasu, osobistości autorów zaledwie nadmieniam; nie rozbieram ich talentu, nie maluję ich charakteru. Moją ambycją było skreślić kilka uwag, któreby mogły posłużyć historykowi do otworzenia życia moralnego w drugiej połowie 19. wieku.

Na życie moralne w społeczeństwie cywilizowanem składa się wiele czynników — literatura jest najważniejszym z nich. Ktokolwiek wejrzy w głąb swego sumienia, przyzna, że po przeczytaniu tej lub owej powieści lub poematu, tego lub owego rozdziału historii albo filozofii nie pozostał już tym samym.

W chwili, kiedy to piszę (w Oxford), widzę młodego studenta uniwersytetu, pochylonego nad książką i chciwie pochłaniającego ją wzrokiem. Na dworze cudowny wieczór czerwcowy, zachodzące słońce czerwcowe smugiem ostatnich promieni żegna ziemię, ukolysaną do snu wonią kwiatów, śpiewem ptasząt. W sąsiednim ogródku rozlega się srebrzysty śmiech dziewcząt i ich wesołe szczebioty.

Czyż nie lepiejby on robił w tej chwili, żyjąc, kochając? Ach, on żyje życiem potężniejszym, wyższym, niż gdyby zrywał wonne kwiecie, patrzył na smutny zachód słońca, ścisnął dłoń której z dziewczerek. Uczy się teraz, jak pić z czary miłości

i szczęścia, jak otrząsać się z odrazą przed rozpustą, jak patrzyć oko w oko śmierci i tej „nieokreślności poza grobem“.

Dostatecznie naznaczona tu myśl przewodnia Bourgeta.

Poeta Baudelaire, historyk Renan, romansopisarz Flaubert, filozof Taine i Stendhal-Beyle, „ów dwulicowy artysta“, w którym ścisły analityk ogólnoludzki i fantasta zlewają się w jedno, są dlań typami usposobienia i myśli współczesnej. Bourgeta nie zajmuje tyle sam pisarz, ile jego dzieło jako wyraz prądów czasu, jego błędów i chorób.

„Lekarze powiadają, że właściwie niema chorób, ale tylko pewne stany fizyologiczne ciała ludzkiego, uważanego za środowisko przemiany materij. Stany te czy to groźne, czy przyjazne — są zawsze normalnymi i nie można ich, rzecz ściśle biorąc, obejmować mianem choroby jako stanu zboczenia od prawidłowego rozwoju. Podobnie i w duszy niema ani zdrowia, ani choroby z punktu widzenia badacza, który w naszych zachciankach i cierpieniach, w naszych pożądaniach i zapieraniu siebie widzi kombinacje zmienne, ale konieczne, podległe prawom asocjacji idei.“

Bourget więc bada choroby wieku, jako „vivisector i nosograf“ — tak nazywa sam siebie — w najznamienszych przedstawicielach i niejako heroldach czasu, nie waha się wypowiadać stanowczo swych wniosków.

„Waszem wszechrozumieniem i waszą pobłażliwością na wszystko — tak urywa swe „Mensonges“ (1888) — waszem odrzucaniem wszelkich norm moralnych psujecie nasze społeczeństwo, nasze odnosiny do narzeczonej i żony, nasze pojęcia o małżeństwie, przyzwoitości, honorze . . . La France a besoin del talents chrétiens! Co wy, półmędrkowie, tam przy zielonym stole piszecie i z kapłańską powagą za nieomylnie prawdy podajecie światu, może wsączyć jad w serce pokolenia dorastającego, spaczyć jego charakter i na zawsze zgubić.“

Ta idea jest treścią powieści „Le Disciple“ (1889).

Lotaryńczyk Greslou wczytuje się za młodu we wszystko, cokolwiek mu się nawinie pod rękę. Dzięki zepsutej szwaczce wczesnie wtajemnicza się we wszelkie arcana zmysłowości. Dzieła duchowego zniszczenia i moralnej ruiny dokonują pisma Adriana Sixta, tego nowożytnego Spinozy, który przeczy wolności woli, odpowiedzialności moralnej, uśmiechem cynicznym zbywa wszystkie postulata etyki kościelnej i społecznej jako klehdy i baśnie z dzieciństwa ludzkości.

Mistrz więc owego Greslou powtarza teorie, nadające dziś ton filozofii, a raczej sofisteryi współczesnej, bo w chwili, kiedy to piszę, wzrok mój padł na rozwartą książkę Brentana „Vom Ursprung

sittlicher Erkenntniss (Leipzig 1889).“ I czytam: „Co do mnie zgadzam się zupełnie z Sherengiem, który za przykładem Johna Locke przeczy wszelkim wrodzonym zasadom moralnym. Co więcej. Odrzucam barokowe jus naturae i. e. quod natura ipsa docuit, jus gentium, zakon międzynarodowy, który porozumienie ludów, zdaniem rzymskich ustawodawców uznało za nieomylną modłę słuszności“ etc.

Wychowany w takich zasadach Greslou o charakterze podatnym, bez krzty odporności, idąc za pierwszym wrażeniem, przeprowadzać je poczyna w życiu.

Wstępuje jako guwerner w dom starszszlachecki, przed czystą jak anioł i w anielskich zasadach wychowaną, córką domu, gra rolę zakochanego, by ją tylko uwieść i shaibić

Na groźbę samobójstwa po długich i ciężkich walkach z własnym sumieniem oddaje mu się niewinna istota, wymógłszy przedtem uroczystą przysięgę, że chwilę szalu okupią obopólną dobrowolną śmiercią.

Ale Greslou za podły jest na to, za nیکezemny; zdradza zaufanie Charlotty, jak zdradzał przedtem jej miłość. Tylko szlachetna dziewczica zadaje sobie cios śmiertelny; Greslou dostaje się do więzienia śledczego. Z fałszywego wstydu przed rycerskim bratem Charlotty zrzeka się wszelkiej obrony, wszelkiego tłumaczenia. Mistrzowi tylko przemyca z więzienia gruby memoryał, w którym czynu swego nie broni, ale przedstawia jak doszło do faktu dokonanego i udowadnia, że dojść musiało do niego. Confession d'un jeune homme d'aujourd'hui, to tytuł apologii Greslou, która jest aktem oskarżenia na panujące dziś idey i cały kierunek nowożytnej filozofii. Poszczególne rozdziały już swymi tytułami stawiają ją na przegierzu:

§ 1. „Mes hérédités“. (Bourget jest zwolennikiem darwinistycznej teoryi dziedziczności i płynących z niej wniosków o walce ras, prawie silniejszego etc. etc. „Cosmopolis“ osnute jest na tle nauki Gumpłowicza „Ueber den Racenhass“, gruntującej się pierwiastkami w darwinizmie, mającym w tej mierze wiele słuszności za sobą. Wyrażenie takie jak „fatalizm krwi“, „fatalités du sang“, „fatalités héréditaires“ napotykamy nieledwie co trzecią stronnicę u P. Bourgeta w „Cruelle Énigme“, gdzie taką napotykamy charakterystykę Teresy, bohaterki romansu: Po swej matce odziedziczyła nerwową, ognistą wyobraźnię, po ojcu krew ogniem płynącą w żyłach — dziecię więc d'un libertin et d'une affolée puszczona luzem, bez zasad religijnych etc.).

§ 2. „Mon milieu d'idées“. Środowisko mych myśli. Transplantation.

§ 3. *Première, seconde, troisième crise.*

§ 4. *Conclusion.*

W tych wyznaniach Greslou, tego typu dudkowatego Fausta i Hamleta, jakich w życiu na każdym niemal kroku łokciem trącamy, czerwoną nicią snują się skrajne poglądy Taine'a o człowieku, onym dzikim, niepokromionym i krwi głodnym drapieżcu, który dzisiaj w uporządkowanym systematycznie państwie prowadzi o najmniejsze quantum własnej korzyści tę samą walkę, jaką toczyli niegdyś dzicy, mordujący się nawzajem o kawałek mięsa. Oczywiście za wiele tu pesymizmu autora „Początków Francji nowożytnej“, który z tej samej zasady wychodząc, z taką wzdargą wyraża się o frazesach Rousseau'a, o złych instynktach mas ciemnych, uważanych przez schlebiających tłumom demagogów za uosobienie wszelkich doskonałości.

Jak mistrzowskim umie być Bourget w odtwarzaniu typów psychologicznych, tak też wyraziście zwykł szkicować i całe epoki, warstwy społeczne, kasty i narody na tle swej teorii „du milieu“ „środowiska“ wszystkich czynników, wpływających na zmianę głównego prądu czasu.

Któżby nie pisał się na jego zdanie: „Niesłychany postęp nauk przyrodniczych w naszym stuleciu zrobił dziś doświadczenie wszechwładnem. Faktów i tylko faktów wołamy dziś z bohaterem Dickensa *Hard times*. Z chwilą tą w romansie i na scenie przestał dzierżyć prym dawny melancholik i rewolucjonista, pozujący na Wertera i Hamleta, sarkający na życie i ludzi jak dziecko, napierające się szybki z okna i gwiazdki z nieba. Z chwilą tą zmienił się on w zimnego, brutalnego nawet w bezwzględnej rachubie realiste; wyrażenie „człowiek tęgi“ stało się powszechnem, a wyrazem tym obejmujemy każdego, kto wszelkie położenie rzeczy umiejętnie i bez najmniejszego skrupułu wyzyskuje. I od jednego krańca społeczeństwa do drugiego wszędy ramionami swemi sięgnął polip wyzyskiwania; rządy drugiego cesarstwa oparły się na wyzyskiwaniu faktów zaszłych, wyzyskiwanie czasu i okoliczności. dążność do używania majątku i zbytku pcha wysze warstwy do pracy. O politycznych ideałach niema już zgoła mowy, nieuniknionem jest bankructwo rojeń liberalnych i socjalistycznych. Ceznie i w literaturze ruń idealizmu. Skoki liryczne i romantyczne przenośnie ruguje nieubłagane liczenie się z faktami; jasna zwięzła p-oza Voltaire'a wraca do dawnego znaczenia.

Jest to epoka, w której powstają olbrzymie dzieła około podniesienia materyalnego dobrobytu narodów, doba, w której prawo powszechnego głosowania, mające za sobą wartość cyfry, staje się jedyną normą rządu. Reforma nauki publicznej na pierwszy plan

wysuwa ściśle umiejętności, humanizm i literaturę za to pozostawia w tyle, z filozofii pozostawia tylko logikę, umiejętność suchą, ale pozytywną. „Pozytywnym wiek jest dzisiejszy, wiekiem cyfr, miary i żelaza.“ Obraz to wspaniały, pełen prawdy, która zresztą jest piętnem znamionem Bourgeta. Cokolwiek powie, zastanawia nie tylko swą oryginalnością, ale zdumiewa prawdą i jasnością.

Wszystkim znaną jest owa charakterystyka rysów narodowych, ujawniająca się w czynach bohaterów Cosmopolisu, a każdy szlachetnie myślący przykłaśnie słowom oburzenia Montfanona na arystokrację samowolnie oddzielającą się od narodu, z którego wyszła i uchylającą się z zasady od wszelkiego żywszego udziału w jego losach.

„Co mnie przejmuje wstętem do tych kosmopolitów to to, że ci błędni nomadzi bywają zazwyczaj ostatnimi potomkami swej rasy, marnotrawcami majątku i zasobów, których nie starają się przysporzyć, ale je nadużyć, roztrwonić. Przodkowie ich dokonali istotnie pewnej sumy pracy, w której działalność ojca łączyła się z wysiłkami syna, jak ogniwo z ogniwoem jednego łańcucha. Ta praca tworzy rodzinę, rodzina naród, narody rasę. Ci kosmopolici jednak, którzy nie sięją, ni orzą, ci to są bezużytecznymi. Używają tylko, i jeżeli ta ich nienasycona chęć używania ogranicza tylko na zmysłach i uczuciu — połową tylko złego. Grzechem jednak przeciwko Duchowi św. się staje, kiedy się wyrodza w epikureizm myśli. Cóż bowiem wart człowiek, który wyczuwszy się w cyrku Renana lub Saint-Beuve'a karkołomnych sztuczek duchowych, albo z uśmiechem patrzy na tak poważną rzecz, jak jest katolicyzm, albo uważa go za sport lub liberyą?“

Oby te słowa wzięto sobie do serca.

Bourget łączy więc w sobie głęboką przenikliwość analityka wszystkich poruszeń duszy człowieka z obrazowością malarza i poetę. Co mnie jednak najwięcej dla niego zyskuje, to teńca z każdego jego dzieła szlachetność myśli i to ciągle dorzucanie cegiełki do odbudowania królestwa bożego na ziemi.

Nazywają go pospolicie psychologiem, ale ta „psychologia romansu“, której wielu krytyków albo zgoła nie rozumie, albo z niej tworzy jakieś nieuchwytne misteryum, nie tłumaczy zgoła istoty pisarza.

Minęły bezpowrotnie czasy romansu przygód i mieniających się jak szkiełka w kalejdoskopie awantur: „Trzej muskietery“, „Tajemnice Paryża“ mają dziś archeologiczną wartość, zna się je, bo się czytało i Robinsona, ale dziś tylko fiaker wiedeński czyta przed drzemką na koźle podobne fanaberye z „Extrablattu“, tylko

klucznicę dworską gdzieś na bezludziu zachwycić zdołają, tłómaczenia utworów w odcinkach naszych dzienników.

Romans dzisiejszy jako obraz życia człowieka, jego cierpieni, zawodów i zwycięstw, musi badać wszystkie tajemne sprężyny działań i postanowień ludzkich, odtwarzać tysiączne, ciche tragedye serca, genezę, rozwój i zamieranie pewnych uczuć niewyraźnych, charakterów wybitnych i wśród różniczkowania się indywidualności, śledzić za typem.

Życie nowoczesne skazuje człowieka na drobną, ślimaczą egzystencyą.

Napozór wszyscy jesteśmy aż do znudzenia jednakowi, według jednego cięci szablonu, podług jednego mierzeni sztrychulca.

Wykształcenie gimnazyjalne i uniwersyteckie, mierzone normą jednych i tych samych egzaminów daje nam jeden i ten sam zasób wiadomości, jednakową jest suma naszych doświadczeń przy warstacie pracy biurowej, jednakowym mniej więcej sposób życia, wierzeń i zapatrywań naszych.

Romans więc dzisiejszy musi być ogólnym, on wskrzesza typy, wsłuchuje się w mowę dusz, które jak muszle porzucone nad brzegiem morza zjawisk na pozór martwe i spokojne, kryją w sobie zamęt i szum smutnych skarg i żalów.

Psychologia więc, jako obserwacya zjawisk życia moralnego wchodziła i wchodzi jako element w każdy romans. Nie potrzeba być bardzo wytrawnym znawcą literatury, by wiedzieć, że Andromaque psychologiczniej jest napisana, niż Cid, „Marianne“ de Marivaux, niż „Gil Blas“ de Le Sage'a.

Psychologiem jest Loti, bywa nim i Zola, ale żaden takim jak Bourget.

Jest on niezrównanym w dobieraniu intrygi zazwyczaj tak prostej, jak opowiadanie dziecka, w opisywaniu wszystkich przesileń duszy, a przytem góruje nad wszystkimi namaszczeniem i szlachetnością inspiracyi. Czytałem przed tygodniem „Ziemie obiecana“ „La terre promise“.

Młody człowiek, a raczej człowiek jeszcze młody, Francis Nayrac i młodzianka Henriette Scilly, narzeczeni, odkładają dzień s'ubu do czasu, kiedy matka Henrietty powróci zupełnie do zdrowia.

Pod niebem sycylijskiem marzą o jednym tylko, by ich szczęście nigdy nie miało końca. Nagle jednego poranku Francis na liście przyjezdnych czyta nazwisko p. Raffraye, kobiety, którą niegdyś kochał namiętnie, a porzucił brutalnie w przystępie niedowierzania, ciężącego przekleństwem na każdej miłości zbrodniczej. Czego ona chce w Sycylii, w Palermo, w tym samym hotelu? Po

latach dziesięciu może przyjechała upomnieć się o prawa dawnej kochanki? zerwać małżeństwo?

Przyjechała tylko po to, aby znaleźć śmierć łagodniejszą. Ale jej towarzyszy dziewczynka dziewięcioletnia, której uderzające podobieństwo do siostry Francis Nayraca zastanowiło najpierw jego narzeczoną.

I w jego sercu odzywa głuchy głos krwi: To jego córka! Co więc począć, gdzie honor i obowiązek, gdzie uczciwość? Czy wyrzec się swego ojcostwa, czy miłości? Czy raczej wyznać wszystko swej narzeczonej, lub przynajmniej matce.

Podśluchana rozmowa narzeczonego z matką odsłania przed Henryką nieznaną jej przepaść upadku człowieka. W sercu jej następuje przewrót powolny, ale stanowczy. Mimo łez swej matki i bezużytecznej skruchy winnego, nie poślubia narzeczonego; jeżeli w sercu jej żyje miłość, to już nie dawna, bo „on“ nie jest jej wymarzoną, nie jest jej Franciszkiem.

Tak mało zdarzeń i treści, szczerza tylko historia dusz i szczegółowy rozbiór trzech uczuć i zazdrości w cudzołóstwie, ojcostwa, poświęcenie namiętności dla uratowania godności — oto cała osnowa powieści.

Nad brzydota moralną, którą romans i powieść wyidealizowała i ubóstwiała, Bourget nie zastanawia się jak Zola w *Pot-Bouille*, lub *la Bête humaine*.

Zdarzeń tu tak mało, zawikłań prawie żadnych, tylko szczegółowy rozbiór trzech uczuć: Zazdrości cudzołożniczej, ojcostwa i ratowania godności ludzkiej, nawet z poświęceniem tego, co sercu najdroższemu.

Kobieta, kochająca poważnie — mówi się zazwyczaj — ukochanemu przebacza wszystko. Henryka tak nie działa, choć kocha poważnie. Szczęścia swego nie wyrzeka się z faryzejskiego pojęcia, o swej dziewiczości, nie z jakiejś skrytej zazdrości, ale wprost z przekonania, że szczęśliwą byćby nie mogła, kiedy między nią a Franciszkiem stało się widmo winy. Tajemna spowiedź narzeczonego przejęła ją zgrozą i odrazą. Życie stało się nagłe przed nią w całej swej nagiej ohydzie, z całą swą nikczemnością, podłotą i kłamstwem. Narzeczonego spadł z wyżyn, na których go widziała przedtem, stał się dla niej zupełnie innym człowiekiem, nie mającym nic wspólnego z dawnym, chyba twarz tylko i nazwisko.

Sprawiedliwości miara musi być dopełnioną; Francis ponieść musi karę za burzenie szczęścia rodzinnego, zaniedbanie praw ojcowskich, za tyle kłamstw i przemieszanie.

Krytyka francuska anatem potępiania rzuciła na Bourgeta za typ Henryki. Mówiono, że to istota bezkrwista, nierzeczywista, że to obraz jakiejś świętej średniowiecznej. Jej heroizm z punktu

widzenia „socyjalnego“ osądzono jako szalenstwo. Jeden ze zwolenników Zoli wołał ze zgorzaniem: To przykład, do czego doprowadzić mogą nieczne uprzedzenia wychowania faryzejskiego i jego skrupuły. Henryka, tak wspaniały materyał na dobrą żonę i matkę, popadnie w staropaniństwo w atrofią, będzie „siłą straconą“.

Co do mnie, sądzę, że Terre promise więcej szlachetnych myśli wszczepiła, niż cały cykl Rougon-Macquart Zoli z wszystkimi jego heroizmami.

Do żenienia się ludzi nawoływać nie potrzeba, bo dążą sami przez się do tego — ale trzeba stawiać im przed oczy przykłady ofiary, trzeba straszyć zgrozą kary i za te winy, w których konwenans mieszczański zdrożnego nic nie widzi, choć sumienie z całą stanowczością na nie woła: „Nie wolno!“

Karol Wróblewski.



Jaskółki.

Pod oknem domu, w którym mieszkałem, jaskółki wić poczęły gniazdo. Taka to zwykła rzecz — a jednak jaką nam sprawiała radość! Od rana rozpoczynało się ćwierkanie żywe, wesołe; ptaszęta co chwilę przylatywały i odlatywały — zdawało się, że się bawią, a one pracowały wesoło. Jedna przynosiła słomkę, druga kawałek gałązki, i tak kolejną znosiły glinę, wodę, piórka, słomę i budowały, budowały zawzięcie, pracowicie, wesoło. Gdy się zmęczyły lataniem, siadały na ramię od okna, pochylały główki, zaglądały ciekawie do wnętrza pokoju, potem zrywały się, leciały i znowu gorączkowo znosiły materiał do budowy gniazda. Zżyliśmy się z temi jaskółkami; zdawało się, że stanowią część nieodłączną naszego domu i naszego życia. Gdy gniazdo było na ukończeniu, kilka odważniejszych wróbelków poczęło do niego zaglądać w czasie nieobecności jaskółek, a nawet raz, o zgrozo, przyjaciółki nasze zastały w gnieździe, tak pracowicie dla siebie zrobionem — zuchwałą wróbelkę, która się tam rozsiadła jak u siebie w domu. Uderzyły na nią gwałtownie — i wypędziły.

Kiedyś dzieci, z właściwą dzieciom żywością, przybiegły do mnie wołając:

— Tatku! Wróble napadły na jaskółki!

Wyszedłem na balkon, patrzę — wojna prawdziwa!

Stadko wróbli — może ze trzydzieści — zaatakowało jaskółki, które siadły na gniazdku, przytuliły się o ścianę i nie dawały się wysadzić ze swego stanowiska. Wróble ze wszystkich stron uderzały na nie — skrzydłami, piersią i dzióbem, ale jaskółki broniły się zawzięcie. Bitwa ta, o nierównych siłach, była tak uporczywa, że wrzaskliwe ćwierkanie rozlegało się na wszystkie strony, a wyrwane pierze w powietrzu latało.

Wreszcie wróblom udało się wysadzić z pozycyi jaskółki. Kiedy popołudniu zjrzałem w górę do gniazda — cicho było, ani jaskółek ani wróbli, tylko na sąsiedniej sośnie siedziała

pośród gałęzi gromadka wróbli i ćwierkając radziła o czemś gorączkowo.

— Stchórzyły jaskółki — pomyślałem sobie.

Nad wieczorem przyleciały raz i drugi, ale gromada wróbli, na sosnie siedzących, rzuciła się na nie gwałtownie i albo wcale nie dopuściła do gniazda, albo odpędziła.

Nie umiałem sobie wytłómaczyć tego zjawiska — alboż my wiemy, jakie walki, i o co prowadzą ze sobą wróble i jaskółki?

Nazajutrz przyleciały znowu, ćwierkały żałośnie, latały długo, krążąc nad dachem, zaglądały do gniazda i odleciały napowrót. Parę dni minęło — nie zjawiały się. Myślałem, że zwyciężone, wyrzekły się gniazda swego i pracy, a wobec najważniejszej siły wołały bodaj nędzne życie uratować.

Wtem pewnego dnia, rano, przyleciała jedna tylko jaskółka — zajrzała do gniazda, okrążyła je, ćwierkając żałośnie — i odleciała. W pół godziny była już z powrotem: leciała na przedzie gromady z kilkudziesięciu jaskółek złożonej, które zwykle hałaśliwe i ćwierkające, płynęły teraz przez powietrze jak nietoperze cicho — wprost do gniazda. Zanim, siedzące na sosnie, wróble spostrzegły je i krzyk podniosły, jaskółki wpadły na gniazdo i odrazu aż czarno się zrobiło. Zbitą masą kołowały się w powietrzu, trącały się skrzydłami, pchały się jedna przez drugą do gniazda i ćwierkały nerwowem, gorączkowem ćwierkaniem.

Przypatrywałem się tej scenie z podziwieniem i uwagę moją zwróciła ta okoliczność, że niektóre z nich miały w dziubku ta gałązkę, owa trawkę, inna słomkę.

Wróble, zerwawszy się z sosny, poczęły dom okrążyć, siadały na drzewach, zwoływały się rozpaczliwem ćwierkaniem, radziły o czemś kupkami, wreszcie skupiły się w gromadkę, poleciały do gniazda — i rozpoczęła się znowu wojna. Ale w tej walce nie wszystkie jaskółki udział brały: część latała koło gniazda i co chwila przysiadła na niem, a druga utworzyła linię obronną i starała się nie dopuścić wróbli do gniazda.

— Co oni wyrabiają? — zapytywały dzieci ciekawie.

Nie umiałem im dać żadnej odpowiedzi.

Jeszcze krótką chwilę trwało to widowisko ptasiej walki, potem jaskółki odleciały gromadnie, lecz już nie tak cicho jak poprzednio, ale z jakimś radośnem hałaśliwem ćwierkaniem. Po odlocie ich, wróble ciągle krążyły koło gniazda — siadały na niem, ćwierkały, przelatywały na sosnę, z sosny znowu do gniazda — w końcu uspokoiło się wszystko: gniazdo zostało opuszczone — jaskółki i wróble znikły.

Dugli czas intrygowało mnie mocno to gniazdo samotne, opuszczone, lepione z taką wesołością i nadzieją, o które tyle walk stoczono — teraz ani jedni, ani drudzy nie zaglądali do niego. Pewnego razu chłopiec mój Zygmunt, bardzo ciekawy, przystawił drabinę i do gniazda zajrzał. Ponieważ nie wolno było gniazda dotykać, udałem, że niewiem o tem. Gdy jednak rozmowa wpadła na jaskółki, zwyciężone przez wróble, Zygmunt odezwał się:

— A pocóż one mają teraz przylatywać?

— Jakto, po co?

— Przecież gniazdo jest tak zalepione, że nie mają którędy wejść.

— A skąd ty wiesz o tem?

— Zaglądałem . . .

Postanowiłem i ja zobaczyć. Przystawiłem drabinę — patrzę: otwór zalepiony szczelnie. Przy pomocy noża zdjąłem gniazdo, przyniosłem do pokoju i otworzyłem.

Wewnątrz znalazłem martwą wróblęcę. Zamurowały ją! Nie jest-że to śmierć jak Ugolina!

Teraz dopiero cały rozum tych ptasząt stanął mi przed oczyma: one nie latały daremnie na wieś — one opowiedziały swój smutek, ból, rozpacz, zdołały u innych natchnąć nienawiścią do wroga, obmyślały plan zemsty i wykonały go. Spiskowały, latały, śledziły wroga i na miejscu popełnionej zbrodni zemściły się nad nim bezlitośnie, bezwzględnie; nie paktowały, deputacyi nie wyselały żadnych — o, te jaskółki!

Fr. Rawita.



Z krakowskiego „Salonu“ sztuki.

Słowo o Towarz. Przyj. Sztuk pięknych. — Wystawa obrazów ś. p. Podkowińskiego.

O krakowskiem „Towarzystwie Przyjaciół Sztuk pięknych“ przeciechnął głos opinii, o lwowskiem przygluchł zupełnie! Rozerwało się coś, co nigdy razem skitowane nie było, a żyło sztucznie przyciśnięte do siebie ręką człowieka, który miał może pewne dane do prowadzenia interesu na „własny rachunek“, ale nigdy na rachunek ogółu, na rachunek całego społeczeństwa. Mniejsza o to, jaką pozostawił po sobie opinię w świecie p. Zygmunt Cieszkowski, dla sztuki i dla Towarzystwa Przyjaciół Sztuk pięknych w Krakowie, wyjazdem swoim zrobił możliwie jak najlepiej. Lwów oderwał się i wegetuje sam, tak jak wegetował przed x laty. Lwów ma swoje wielkości w sztuce, które chcą być uznawane osobno od Krakowa. Nie robią i nie robiły one nigdy nic dla sztuki i artystów polskich, ale istnieją szeroka, stugębna famą swoich czynów, a nazwiska ich słyszysz tak w katalogach archeologów, jak i mecenasów sztuki. Dla nich wystarcza to w zupełności, a dla artystów zapewne także, kiedy siedzą spokojnie i cicho. Aż nadto cicho i spokojnie!..

Kraków, jako bliższy zachodu i jego cywilizacyi, czuł potrzebę rozwoju swojej filii i wiele dawał na Lwów — bez pożytku. Dzisiaj sam o sobie znowu pamięta i wierzmy, że z większym pożytkiem niż kiedykolwiek. Artystyczna rzesza, która powoduje się więcej raptem i gorączką niż rozmysłem, źle uczyniła, jeżeli po wyjeździe p. Z. Cieszkowskiego nie umiała skorzystać z chwilowego rozprężenia w łonie Dyrekcji Towarzystwa i nie przyjęła ustępstw na ich korzyść proponowanych im przez ś. p. Rodakowskiego, prezesa Towarzystwa. Szorstkość artystów krakowskich była wtenczas nie na miejscu, tembardziej, że wszystko można było przeprowadzić z prezesem, który sam był artystą i ciężko szorstkość tę przeboleał. Dzisiaj, artyści osobno, Towarzystwo osobno. Jedni i drugie tracą na

tem, a publiczność, owa gawiedź patrząca bez swojego zdania, nie kupująca, bo nie mająca pieniędzy z powodu swego „hawelkowania, fuchsovania, wentzlowania“ i t. p. apatyczna i kierująca się zdaniem „znajomych“ artystów, patrzy bezmyślnie na tę walkę i coraz mniej okazuje ochoty do nabywania dzieł sztuki. Gdzie i dokąd takie postępowanie prowadzi? Towarzystwo, mając lokal, pieniądze i tradycję swego istnienia, będzie istnieć dalej, a artyści — wierzajcie mi mili czytelnicy — artyści zawsze przysyłać będą swoje prace do „Salonu“ Towarzystwa Przyjaciół Sztuk pięknych, ponieważ sami nie mają dość siły i konsekwencji w przeprowadzeniu założenia własnej wystawy! Są w Krakowie tacy, którzy umią agitować i masę rozruszać, ale są oni równocześnie za mało wierzący w swoje obiektywne poselstwo, a artyści zanadto sangwinikami, aby w opozycji wytrwać. I ci i tamci za mało posiadają miłości, za mało fanatyzmu do całej sprawy. Egoizm i trochę złej woli jest zawsze i przy każdej agitacji. Znam to wszystko aż nadto dobrze, bo taką agitację prowadziłem w mojem piśmie p. t. „Nasza sztuka“. Robiłem to, czego milionerzy i mecenasi polskiej sztuki nie zrobili. Założyłem pismo artystyczne dla artystów i obrony ich interesów. Nie otrzymywałem żadnej od nikogo subwencji. Naraziłem się tak Towarzystwu Sztuk pięknych, jak i tak zwanym mecenasom sztuki polskiej, otwierając szpalty „Naszej sztuki“ celom agitacji i walki przeciw nim. Ja pierwszy wystąpiłem przeciw nadużyciom p. Cieszkowskiego i przeciw szmatom oleodrukowym. Żądałem konkursów dorocznych z nagrodami, aby utrzymać chęć do pracy i podnieść ambicje artystyczne i t. d. i t. d. A wiecie kto był contra me? Artyści, artyści i artyści. Obecnie pismo moje zawiesiłem, pan C. wyjechał aż do Ameryki, Towarzystwo Sztuk pięknych istnieje, jak istniało i tylko konkurs na obrazy rozpiśało — a artyści ani stowarzyszenia nie założyli, ani w najlepszych chwilach do kompromisu nie przyszli, ani biernej nawet opozycji niewystawianiem swoich prac w „Salonie“ krakowskim nie stworzyli. Wszakże to sangwinizm, aż miło! Gdzież agitatorzy? Wszystkie te myśli przesunęły się w umyśle moim, kiedy przed kilku dniami zwiedzałem krakowski „Salon“.

Jest postęp! i to nie u publiczności, nie między artystami, ale u Zarządu Towarzystwa. Niedawno jeszcze odrzucano w Jury — w której i malarze zasiadają, obrazy nowej szkoły. Dzisiaj zobaczyłem dzieła ś. p. P o d k o w i ń s k i e g o. I wiecie kto na nie sarka? Artyści! A są to obrazy tak wielkiego talentu i tak wielkiego ducha, że nie dorosli mu ani w połowie ci, co piszą i mówią przeciw niemu. Jest to, a raczej był, jeden

z tych niewielu, którzy pracują li tylko dla siebie i swoich ambitnych żądz artystycznych, rozrywających jego zboląłą duszę. Być może, że wszystko to, co zrobił, było jak mówią chorobliwe i niezrozumiałe. Być może miał on ambicje stworzenia u nas szkoły impresyonistycznej. Być może, że był romantykiem z pewnem uprzedzeniem, z pewną z góry powziętą myślą, z pod której przewagi nie mógł się wydobyć... wszystko to być może! Faktem jednak jest niezaprzeczonym, że ś. p. Podkowiński był zamilowanym w swojej sztuce artystą, posiadał siłę i szlachetne ambicje do wyrwania się z pod szablonu i utartych pojęć, że dążył jeżeli nie do stworzenia genialnych rzeczy, to przynajmniej do dzieł prawdziwie oryginalnych i prawdziwą posiadających wartość. Faktem również jest i to, że przed nim nie znalazł się u nas nikt, ktoby w tym kierunku malował, i faktem jest, że po nim dopiero zaczęto u nas malować impresyonistycznie. I podczas kiedy inni, ci co go naśladowali, byli wolni od żartów, kpin i naigrawań krytyki, oraz publiczności nierozumnej — to ś. p. Podkowiński całe krótkie swoje życie był męczonym często w brutalny sposób, a i po śmierci nawet darować mu się nie może, że wprowadził do naszej sztuki szarej i powszedniej promień światła, wywołał rozprawy i spory i popchnął nie tylko całą rzeszę młodszych artystów na drogę nową, ale zmusił i krytyków do studyowania prądów nowoczesnego i ostatniego malarstwa w Europie. Nie mam zamiaru tworzyć z Podkowińskiego geniusza, bo takim nie był. Przypisać mu jednak muszę zdolność przyswojenia sobie najnowszych kierunków malarstwa i śmiałość wniesienia ich do nas, gdzie bądź co bądź wywarły one bardzo korzystne i dodatnie wpływy. Niestety, walka jaką toczył z otoczeniem swoim, nie rozumiejącem jego artystycznej działalności, spotęgowała chorobę płucną, jaka organizm jego toczyła. Zmarł, mając zaledwie dwadzieścia sześć lat!

Są krytycy, którzy wszystko to, czego umysł ich pojąć nie może, to, co jest innem od tego, co dotąd widzieli, nazywają „dziwactwem“. Wyraz ten, wraz z nazwą „chorobliwość“ znajduje się prawie w każdej krytyce o obrazach Podkowińskiego. Dlatego też za zasługę poczytuję nowemu zarządowi Towarzystwa Sztuk pięknych, że wrzekome dziwactwa te zebrał i w „Salonie“ swoim publiczności krakowskiej i artystom niektórym, stamtąd nigdy nie wyjeżdżającym pokazał. Nie są one kompletne, ale są w zupełności dostateczne, aby zrozumieć artystę, jego duszę i kierunek. Oddawał on to, co czuł i ukochał. Pierwsze jego impresyonistyczne próby krajobrazów w oświetleniu słonecznem zostały wyśmiane. Prawda, są dziwne.

Ale za to „Polów raków“ malowany po wyśmianiu tych prób — przez Wyczołkowskiego — nazwany został genialnym! „Targ za żelazną bramą“ Pankiewicza, również znalazł wyrazy pochwalne krytyków i t. d. Podkowiński z całą siłą śmiałości wniósł naga, naiwna i szczerą prawdę, którą inni, genialniejsi od niego podjęli i dalej poprowadzili, a za których uszlachetniającym prądem i on w dalszym ciągu bieg swój temperował. I tak było i będzie. Ktoś musi być pierwszy — ale ten musi być i wyklęty. Później, kiedy artysta myśli swoje przeniósł ponad pejzaż i więcej ukochał fantazje, maluje Podkowiński kompozycje, jak: „Taniec szkieletów“, „Dzwony“, „Bajkę“, „Ironię“ i wiele innych pomniejszych aż do symbolu własnej duszy, własnego ja, własnej poszarpanej ambicji, która toczona przez chorobę i zgryzoty, rozwściekla się i dochodzi do „Szał“, rzucając się bez przytomności w przepaść, w grób, w nicosć! Taką historję czyta się z obrazów tego artysty. „Szał“, ogromnych rozmiarów obraz, przedstawia spadającego ze skały wśród tumanów mgły, kurzu i odłamów, konia czarnego z wywieszonym z piany językiem i wywróconemi oczyma. Do niego przytulona, na wpół siedząc, wpół wisząc, trzyma go w objęciach naga młoda kobieta. Oczy mając zamknięte, usta cokolwiek uchylone, teźnie ona całą postacią swoją, aż do ekstazy posuniętą zmysłową rozkoszą. Dla niej nie istnieje w tej chwili ten przestrach, jaki opanował jej zwierzę, niema ona ani uczucia, ani przytomności i nie zdaje sobie sprawy z czasu przestąpienia i czynu. Przypnać trzeba, że mimo wszelkich widniejących usterek pod względem rysunku czy też malowania, jakieby w tym obrazie znaleźć można — obraz jest dziełem ogromnego talentu i pracy, a sam symbol tworzy się zrozumiale dla każdego — dla którego inteligencji wogóle symbol jest przystępnym. Cały obraz jest trzymany w tonie ciemnym, prawie czarnym, na którym widnieje złocistym kolorem ciało ogarniętej szalem kobiety. Obraz znakomity w tonie i w kolorze. Z mniejszych obrazów zadziwia bogactwem fantazji „Żałobny marsz Szopena“, a właściwie ilustracja do wiersza Ujejskiego „Dzwony“. Pełno tu postaci idących z pogrzebem, o różnych wyrazach twarzy i odzwierciadlającym się na zewnątrz żalu. Przed nimi w powietrzu biją dzwony, kołyszą się wichrem i napełniają jękiem powietrze. A na ziemi kłęczy z wyciągniętymi przed siebie rękami młodzieniec i woła:

Za co Tyś mnie tak ukarał, Ty co zwiesz się Bogiem!

Za co, za co? — Och!

Samowładca nad słońcami, nad stworzeniem mnogiem,

Mnie zdeptałeś — Proch!?

Gdzie ten Bóg,
Co mnie zmógł?
Czy go jęki dzwonów głuszą i krakanie wron?

Fatrząc na obraz ten słyszę jęki dzwonów śmiertelnych i zda mi się, że widzę młodego artystę, który czuł zbliżającą się śmierć, widział swój pogrzeb, słyszał bijące dzwony i bronił tej resztki swojego życia, nie chcąc tak wcześnie umierać! Tylko w przystępie takiej wizji można bowiem było stworzyć tak przerażającą kompozycję! . .

Cały szereg ilustracyj i obrazów z ostatnich kilku lat życia artysty, wskazuje na miotającą nim rozpacz i wewnętrzną walkę psychiczną. Pessimizm, bezgraniczna jakaś moc zwątpienia ogarnęła całą jego duszę i doprowadzała do wybuchów takiego szaleństwa, jakim była chęć zniszczenia ostatniej swojej pracy, mianowicie „Szału“. Chory już był wtenczas i fizycznie złamany, kiedy nożem krajał to płótno — to też rzucony potem na łożo, nie powstał już z niego więcej! Ostatni był to wysiłek i do pewnego stopnia samobójstwo. Zgasł i zmarniał przedwcześnie ze szkoda dla sztuki talent, pojony piołunem do ostatniego technienia. Ani szablonowa krytyka, ani godna jej publiczność uznać go nie chciała za życia.

Po śmierci za to otworzyły mu swoje wrota „Salony“ polskie i zapłakali sprawozdawcy, co utyskiwali przedtem nad „marnotrawnem dzieckiem, które ośmieliło się przeschczepiać nowe, niebezpieczne i wyklęte kierunki ze zgniłego Zachodu i zaraziło tem tylko bujną a czystą niwę naszej idealnej i szlachetnej sztuki!“

Kraków, 19. września 1895.

Roman Lewandowski.



Przeżyte — Odczute — Wydarzone.

(Ciąg dalszy.)

„O myśli moja twórcza! gdzie tobie iść w drogę?
„Ojczyzna cię zakłęta na zawsze w swe koł...“

Ujejski.

„Familiantka.“

Niezapomnianą Sonię, którą dla wzmagającej się anemii odesłał lekarz do szpitala, zastąpiła inna posługaczka. Polką była ta nowa; nie zdaje mi się wszelako, abym miała powód chlubienia się rodaczką. Z oczu jej tryskał nadmiar sprytu, z twarzy za bujne może życie, uśmiech miał w sobie coś wyzywającego... Nie budziła sympatyi, ani zaufania. Cóż jednak czynić miałam? Wiedziałam przecie, że nie zaprowadziła tu Julki gorliwa wszystkich cnót praktyka, a usługą była, chętną, i co więcej, ona jedna odzywała się tu do mnie po polsku. Trzeba zaś doświadczyć tej nostalgii słuchu, stęsknionego za dźwiękami ojezystej mowy, aby zrozumieć, jaką ona gra w uchu muzyką, jakie echa budzi w pamięci — samo więc „dzień dobry pani“, jakim witała mnie co rano, już mnie zjednywało dla Julki.

Czasami zamieniała ze mną słów parę: o pogodzie, o stanie mojego zdrowia, napomykała o niezadługo już mającem nastąpić uwolnieniu swoim, bo dozór więzienny, z początku dokuczliwie ścisły, znacznie z czasem złagodniał, szczególnie, odkąd towarzyszki moje odzyskały wolność, a z „politycznych“ ja, sama jedna, zostałam.

— A wie pani? Ta, co ją tu wczoraj z dołu przeniesli, to także Polka — rzuciła nieraz Julka podczas sprzątania, korzystając z chwilowego odstąpienia dozorczy od prog.

— Polityczna? — szepnęłam, przerażona nieco myślą, że przybycie nowej towarzyszki przewlecze wytoczoną nam sprawę.

— Gdzie zaś! Aresztantka... Z dziewczuszką! — odparła Julka takim tonem, jak gdyby sam fakt posiadania „dziewuszki“

niezbity stanowił dowód, że nowoprzybyła niema nic wspólnego z polityką.

Przekonał mnie argument Julki i przez cały dzień na chwilę nawet nie powróciłam myślą do tej biedy czy winy ludzkiej, w sąsiedztwie mojem pokutującej.

Ale Julka zapomnieć mi o niej nie dała.

— Proszę pani — nazajutrz znowu podjęła — ta obok, to ona nie ze wszystkim prosta. Z porządniejszych, zdaje się...

— Tak?

— Sama pani zobaczy. Ona jeszcze tam na dole, zwiędziała się o pani, tylko, że tam, daleko była i nie „pod rząd“ z panią, a tu, bliżusieńko, przez ścianę... Ona się z panią rozmówi...

Jakoż nastąpiło to w samej rzeczy. Niema chyba na świecie więzienia, którego mieszkańcy nie znaleźliby sposobu porozumiewania się z sobą, więc też w kilka godzin po rozmowie z Julką, dzięki komunikacji zaprowadzonej przez moją sąsiadkę, poznałam w ogólnych zarysach historię jej życia.

„Nie była z prostych“, jak mi na samym początku oznajmiła. Mąż jej, „mój pierwszy nieboszczyk“, jak się o nim wyrażała — szlacheckie nosił nazwisko, szlachcicem też był herbownym i właścicielem niewielkiej części na Podlasiu. Została jej po nim córeczka, dziewięcioletnia Magdusia, spadkobierczyni ojcowskiego gruntu, który dzierżawił stryj rodzony, opiekunem małoletniej będący. Ona zaś sama, Konstancya, wysłała powtórnie za męża, za właściciela restauracyjki jakiejś w Radomiu, czem mocno oburzyła na siebie rodzinę męzowską, wielce dbałą o godność klejnotu.

— A najgorzej zawziął się na mnie brat... Nieboszczyk nie tak to bardzo był młody, a ten gdzie od niego starszy!... W powstaniu był, cięcie przez głowę dostał, w pańskim go dworze leczyli, wysoko więc głowę nosi... Familiant! Gniewał się, że za kucharza znowu poszłam, wymyślał, że mi rądle pachną... Magdusię chciał mi odebrać! Ale ja nie dałam... Porządny był człowiek, mój drogi nieboszczyk, chociaż kucharstwem dorabiał się chleba...

Z tym drugim więc mężem, przyjechała Konstancya tutaj, gdzie zwabiła ich nadzieja prędszego zarobku. Szło im w samej rzeczy nieźle, ale mąż umarł, ona restaurację sprzedać musiała, sporo przytem straciwszy, „bo to wdowę każdy rad skubnie“. Grunt był w dzierżawie, nie miała do czego wracać, poszła więc za mąż raz trzeci. „Pożal się Boże jak... Dość powie-

dzieć, że tutejszy był człowiek . . . Stracił resztki mienia do ostatniego grosza i skończył się“, a chociaż przez to samo nabył prawo do tytułu „trzeciego nieboszczyka“, Konstancya mówiła jednak o nim „ten ostatni“, to jedno tylko mu chwalać, że jej wcale dzieci nie zostawił. „Bo co by to były za dzieci i co jabym z niemi robiła, jak wróce!..“

Owdowiawszy po „tym ostatnim“, poszła Konstancya w służbę. Dostała miejsce gospodyni w bogatym domu, pensyę miała znaczną, wygody, lubili państwo i ją i dziecko, ale „ot! złe ludzie, intrygi, dopuszczenie Boże“ i rok już przeszło tu siedzi. Magdusię ma przy sobie, źle jej nie jest, obchodzą się z nią grzecznie, niezadługo już pewno wyjdzie, bo prokurator jej mówił, że śledztwo już na ukończeniu. Boga nie byłoby chyba na niebie, gdyby się nie wykryła jej niewinność. Jedno tylko ją martwi. Magdusia, która czytała już po polsku wcale nieźle, przez ten czas zupełnie czytać zapomniała. I dziecka jej żal, bo to rozgarnięte jak rzadko, a do nauki aż drży i o „familie“ jej chodzi. Tylko stąd wyjdzie Konstancya, natychmiast do kraju powróci, a brat nieboszczyka zaraz na nią napadnie, że o dziecko nie dbała jak trzeba, że Magdusia ziema edukacyi, że „nieprzymierzając, jak ostatnia prostytutka, wcale na książce nie uczona“.

Zapomniawszy, że polskiej książce wstęp tu wzbroniony, zapytałam, czemu nie każe dziecku czytać przy sobie.

— Nie mam na czem, proszę pani, a zresztą, niech tam już i ten wstyd na siebie wezmę, niebardzo ja tam do czytania mądra. Ot! sierotą byłam, wysługiwałam się za chleb i przyodziewek, nie nauczył nikt . . . Przez to też i familia mężowska zawsze boczyła się na mnie . . . Oni familianci, a ja co? W restauracyi usługiwałam, dziewczyną będąc . . . Ztamtąd mnie wziął pierwszy nieboszczyk . . . Swojego nie miałam nikogo . . . Jak kukulki piskłę się hodowałam . . .

Po tem wyznaniu nastąpiła chwila milczenia. Konstancya rozpamiętywała zapewne doznane od rodziny mężowskiej przykrości, ja myślałam o tym „familiarci“, co siedząc na półwłóczu piaseczków lub mokradeł podlaskich, wysoko nosi cięciem szabli naznaczoną głowę . . .

Nareszcie zagaiła znów rozmowę Konstancya:

— Paniusiu jedyna, czyby to nie można tak zrobić, żeby Magdusia przypomniiała sobie czytanie?

— Nie wiem jak . . . Zobaczę . . . pomyślę . . . Może znajdę jaki sposób . . .

I ja także nie miałam książki polskiej, ale poszłam po radę do głowy... Nie! tym razem, to zdaje mi się, że do serca poszłam po radę i że tam znalazłam sposób, jak uczyć Magdusię...

Zaraz nazajutrz wprowadziłam go w wykonanie. Dziewczynka nie podlegała całodziennemu zamknięciu w celi, gdzie matka zajęta była obowiązkiem szyciem: wolno jej było wbiegać od czasu do czasu dla zabawy na szeroki, ogrzany korytarz, po którym goniła się z innymi dziećmi. Korzystając więc z tego pozwolenia, a także i z sąsiedztwa ze mną, umiała upatrzeć stosowną chwilę i odchylając kłapę, wsuwała przez otwór nie zawsze czystą rączkę. W tę dłoń dziecięcą kładłam karmelek, daktyl, kawałek piernika, czasem tylko cukru kawałek, ale podany dziecku przysmacek zawsze był owinięty w papier, na którym wypisywałam wszystkie po kolei głoski alfabetu, duże i małe — drukowane, ma się rozumieć.

— *A* — szeptalam Magdusi — karmelek *A*, pierniczek *B*.

— Karmelek *A*, pierniczek *B* — cicho, prędko powtarzało dziecko, pojmujące konieczność tajemnicy i uciekało ze swoją zdobyczą, a niezadługo potem, zwykłą drogą komunikacji, udzielała mi Konstancja wiadomości, że Magdusia „zna już nazwisko tej litery“, i że z własnego popędu przerysowała ją z jakie dziesięć razy na wszystkim, na czem posiadanym kawałeczkiem kredy rysować mogła.

Wyreżwały mnie czasem w kaligraficznym trudzie torebki od przysyłanych mi z domu zapasów, znajdowałam na nich bowiem gotowe litery, i tak, w niespełna tydzień, przyszła Magdusia do posiadania elementarza, dzięki któremu przypominała sobie jak najwyborniej znane jej dawniej głoski. Tak przynajmniej twierdziła Konstancja, na zdaniu której polegać musiałam, nie mogąc naturalnie przekonać się osobiście o czynionych przez Magdusię postępach.

Teraz więc przystąpiliśmy do składania, a raczej do rozbiierania wyrazów.

— Magdusiu, daktyl: *W i o s k a*, cukier: *Ż y t o* — szeptem zawsze nauczałam dziewczynkę i dziecko w danym sobie wyrazie odnajdywało jedną po drugiej dobrze znane już głoski, a gdy się zebrał spory wyrazów zapas, układało z nich zdania, znajdując w tem zajęciu niewyczerpane źródło przyjemności.

„Wszystko sama już umie“ — z akcentem dumy macierzyńskiej zapewniała mnie Konstancja, a ja, chcąc Magdusię

zająć czemś nowem, obmyśliłam dla niej niespodziankę, która zyskała ogromne powodzenie.

Wiedziałam, że umie na pamięć „Kiedy ranne wstają zorze“, oraz „Wszystkie nasze dzienne sprawy“. Zamiast pojedynczych, luźnych wyrazów, zaczęłam więc dawać jej wiersz po wierszu obu tych pieśni, nie uprzedziwszy ją wcale, co do czytania dostanie. Tak dla niej, jak i dla mnie tryumf to był i radość ogromna, kiedy się pokazało, że Magdusia doskonale rozkłada wiersze na wyrazy, a wyrazy na głoski — „bez omyłki, jak stary“, twierdziła matka. Czyniła to zaś z taką przyjemnością, z tak niezmordowanym zapałem, że o zabawie nawet zapomniawszy, po całych dniach oddawała się nietylko odczytywaniu, lecz i przepisywaniu — drukowanemi naturalnie głoskami, bo takich tylko używałam dla niej. Dowiedziawszy się o tem, zaczęłam ją uczyć poznawać pisane. Nauczyła się ich nad podziw szybko, ale gdy się nauczyła, nasunęła nam się nieprzewyciężona na pozór trudność.

— Proszę pani jakiego czytania dla Magdusi... A to dziewczucha pokoju mi nie daje! — słyszałam powtarzane parę razy na dzień.

Jakoś nie wypadalo zawieść oczekiwania Magdusi! Na różnych więc kartkach, éwiarteczkach, skrawkach pisać zaczęłam bajeczki Jachowicza, cudze i swoje wierszyki, w zwięzłych zawarte zdaniach wiadomości o wszystkim co nasze, co swoje, co znać i kochać potrzeba, nie pomijając też wiadomości o ziemi, o istniejących na niej tworach, o wszystkim jednym słowem, co uważałam za pożyteczne dla dziecka, niewątpliwie więcej rozzarniętego od innych w tym wieku dzieci, skoro tak usilnie pożądało strawy umysłowej.

Pisanie to, zapełniając wolno wlokące się godziny, stało się dla mnie prawdziwą rozrywką i zajęciem najmilszem, Magdusi zaś dostarczało nie znającej przesyty rozkoszy.

Wtedy to, w chwilach do rozmowy najsposobniejszych, odzywał się z głębi sąsiedniej framugi, czysty jak dzwonek głos dziewczątka:

- Proszę pani!
- A co, Magdusiu?
- Czy pani mnie słyszy?
- Słyszę.
- A dobrze?
- Doskonale.
- To niechże pani słucha, ja pani coś powiem.

I w ciszę stepowego pola padały jeden po drugim wyrazy, z rozrzewniającą lubością i uroczystem namaszczeniem wygłaszane:

— Ziemia jest okrągła... Rzeki płyną do morza... Wisła jest rzeką polską... „Nasza się Wisła ukochana toczy, Przez kraj rozległy, polisty, uroczy“... „Wilija, naszych strumieni rodzica...“ Naszych, to jest litewskich, bo i Litwa nasza — (od siebie już dodawała Magdusia) — Litwę przyłączyła do Polski Jadwiga, poślubiając Władysława Jagiełłę... To wszystko prawda, proszę pani?

— Święta prawda — odpowiadałam skwapliwie, a głosik dziewczęcy, jakby w tem zapewnieniu otuchy zaczerpnął i siły, recytował dalej i dalej, przerywając sobie od czasu do czasu pytaniem:

— Słyszysz pani?

Słyszałam, o! słyszałam i rosło mi serce radością, że odbita od gniazda ptaszyna zna niezapomniane hejnały i kołysanki, co nad starem brzmia gniazdem...

Jakieże więc doznałam przykrości, gdy dnia pewnego, zażądawszy nowego zapasu papieru, usłyszałam, że nie pierwaję otrzymam, aż wydelegowany w tym celu żandarm skontroluje, co uczyniłam z poprzednio otrzymanym. Dając mi go, pozszywano arkusze, ponumerowano wszystkie kartki i każdy zeszyt opatrzone nadpisem, opiewającym, jako tyle a tyle kartek tu się znajduje, co własnoręcznym stwierdza podpisem czuwający nademną opiekuńczy duch żandarmski.

Powinno więc była, zapisaną lub czystą, lecz taką samą posiadać ilość kartek. Tymczasem okazało się, że ich brakuje! Gdzie są? „Nie wiem... gdzie się podziały“. Pełnem zgrozy spojrzeniem skarconą zostałam za lekceważącą odpowiedź, poczem uczyniono mi wymówkę, że za wiele zużywam papieru, że niewiadomo na co go obracam, że przepisom władzy ulegać powinnam... Uroczysta to była przemowa! Słuchałam jej, nie wiele sobie z niej robiąc, skrzywiłam się dopiero, usłyszawszy, że nowego papieru nie dostanę!

Wtedy to w rachunkach moich z miejscowym dostawcą figurować zaczęły zadziwiające ilości miłkiego cukru, soli, drobnej kaszki i tym podobnych sypkich produktów, owijanych w sztywny, żółty papier, który przez czas pewien służył mi za jedyny materiał piśmienny. Niebawem odzyskałam prawo posiadania papieru i rzeczy wróciły do poprzedniego stanu: nie nie brakło Magdusi czytania, o które zawsze równie się natarczywie dopominała, równy z niego odnosząc pożytek.

I tak dzień po dniu karmiłam małą familiankę chlebem ojczystych tradycyji i macierzystej mowy miodem, dzieliłam się z nią, jak z siostrą, narodowego bogactwa spuścizną.

Nie wiem, czy moja metoda nauczania zyskałaby uznanie pedagogów, ale wiem, że gdy po kilku miesiącach opuszczałam więzienie, a Konstancya (zawsze w głębi swojej framugi dla mnie niewidzialna) zapewniała mnie o dozgonnej wdzięczności swojej, to przyjmowałam jej podziękowania z przekonaniem, że ze wszystkiego, com w życiu napisała, ta niby książeczka Magdusi najpożyteczniejszą jest chyba!

(Dalszy ciąg nastąpi.)



J. C. Hernick

Odlewnia artystyczna, cyzelernia i fabryka wyrobów kruszczowych
we Wiedniu, X. Alxingergasse 1. 35

poleca się do wykonania odlewów pomników, figur, ornamentów, nagrobków etc. z brązu, cynku i innych trwałych kruszczów, podług modeli lub rysunku. — Za wykonanie artystyczne i rzetelne zaręczam, przesyłam kosztorysy, rysunki etc. z całą gotowością.



Gotowa kolosalna grupa „Helios“ z cynku nadająca się do ndekorowania studni i wodotrysku w wielkim ogrodzie lub placu jest tanio do nabycia. fotografie i kosztorys takowej franco.

Pomada „Phönix“



na wystawie higienicznej w Sztutgarcie 1890 odznaczona. jest wedle lekarzkiego orzeczenia i tysięcy pism dziękczynnych uznana jako jedyny istniejący, istotnie dobry i nieszkodliwy środek. aby u pań i panów wywołać pełny i bujny porost włosów, nsunąć wypadanie jak i łuszczenie się. Wywołuje także u bardzo młodych panów silny porost wąsów. Zaręczam za skutek i nieszkodliwość. — Słoik 80 ct. pocztą lub za zaliczką 90 ct.



K. HOPPE

Wien, XIV. Hütteldorferstrasse 81.

Jedyny w Wiedniu polski

SKŁAD TUTEK CYGARETOWYCH, PAPIEROŚNIC etc.
Karoliny Czerwińskiej

I. Liliengasse Nr. 1

poleca swe znane z dobroci wyroby po cenach fabrycznych.